



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowieza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. i
sgr. 20.

USPOKOJENIE.

Nie patrz w tę ciemność, nie słuchaj jęku,
Który z przeszłości mglistej dochodzi....
Komu ból wyrwał ster życia z ręki,
Ten płynąć będzie w strzaskanej łodzi.

Niech nic nie zmaci myśli twych ciszy,
Niech żadne żądło serca nie zrani;
Lecz, gdy zapłaczesz, niech Bóg usłyszcy,
I nie da łzom twym ginać w otchłani.

Zgaszone światła już u ołtarza;
Szczęściu usypać tylko mogile!
Ale duch żyje: duch niech przetwarza
Ból w mądrość, mękę—w spokój i siłę.

Pomysł: po skwarnej szczęścia godzinie
Szał uraganu myśmy przetrwali;
Dziś już niech łódź twa spokojnie płynie—
Pod szarem niebem, po szarej fali.

Wł. C...

POGA WĘDKA.

Siła wyższa zmusza nas zająć się przedewszyst-
kiem meteorologią, która stała się w ostatnich
czasach jednym z najbardziej interesujących

przedmiotów, nie tylko z braku samego materiału
dla kronikarza, ale ze względów wyjątkowych
w naszej strefie objawów. Jeżeli kiedy, to teraz
możnaby francuzkie przysłowie o schodzących się
ostatecznościach zastosować najwłaściwiej do po-
gody; tropikalne upały i burze, posucha i ulewę
mieniają się z sobą kolejno nad naszą nieszczęsną
głową.

Warszawa — to jak spragniona Hagar na pu-
szczy: z wyschłym językiem woła raz kropelki
dżdżu, to znów, jak korab' Noego, pławi się w fa-
lach istnego potopu, pomimo wszystkich tęcz, któ-
remi od czasu do czasu stroi się nasze niebo, niby
kolorową szarfę, przypominając ziemi traktat
z Panem Bogiem, zawarty coprawda w tej epoce,
w której jeszcze o Warszawie słyhu nie było.
Może też dlatego nielitościwie Danaidy zmywają
nam głowę tak obficie, jakgdyby nas uważały za
kandydatów do czubków, lub pacjentów hydropa-
tycznego zakładu. Nie umiemy sobie wytłómaczyć
na razie przyczyny tych olbrzymich pryszców;
ale to wiemy, że według obliczeń naszych mete-
orologów, gdyby wszystka ta woda, co z upustów
niebieskich spadła na Warszawę w ciągu ostat-
nich trzech miesięcy, zatrzymała się była jakim
cudem na miejskim bruku, byłibyśmy dawno już
pozamieniali się w jakie morskie potwory, albo za-
częli na lagunach budować mieszkania nawodne,
jak to *in illo tempore* bywało.

D-r Haepke, autor znakomitej pracy pod tyt.:
„Przyczynki do fizyografii burz“ utrzymuje, iż
burze, nawałnice i gromy zwiększają się z każ-
dym rokiem; uważa on to za skutek zmniejszania
się ilości wód i lasów w Europie, tych naturalnych,
jego zdaniem, regulatorów gwałtownych wstrzą-
śnień atmosferycznych.

Jeżeli zatem u nas coraz częstsze zdarzają
się awantury powietrzne, coraz więcej wody spa-
da nam za kołnierze, coraz gęściej biją pioruny i
coraz głośniej wyją uragany, to wszystko to przy-
pisać należy... najpierw naszym panom braciom,

którzy własnowolnie pozbywają się ziemi, a po-
tem Niemcom, którzy niemiłosiernie trzebią lasy i
ogalają kraj z tych zielonych przedmurzy i ma-
sztowych gromochronów, odcinających Jowisz-
owe pociski od sadyb ludzkich.

D-r Haepke nie radzi wprowadzić swoim roda-
kom, aby nie kupowali więcej polskich majątków
i nie niszczyli polskich lasów wandaląską ręką, ale
zaleca stawianie na budynkach konduktorów
z cynkowanego żelaza i pielęgnowanie dla ochrony
wysokopiennych drzew w pobliżu domowstw ludz-
kich, zwłaszcza po wsiach i na miejscach odkry-
tych.

Zdaje się, że nasz astronom, p. Kowalczyk, zaj-
mujący się obecnie statystyką burz w naszym
kraju, dojdzie do podobnych wniosków, ale prze-
dewszystkiem powie nam prosto z mostu: „Moi
kochani, jeżeli nie chcecie, aby w was kiedy piorun
trząsł, nie sprzedawajcie resztki tych lasów, jak-
kie się jeszcze ostały przed grabieżą niemieckich
kulturtraegerów i nie pozbawiajcie się naturalnych
szańców przed burzami, bo będzie z wami bieda!...“

Stare przysłowie: „Nie było nas, był las; nie
będzie nas, będzie las“ staje się anachronizmem,
wygwizdanym szyderczo przez wszystkie wiatry
wiejące ponad pustymi zrębami dawnych, wielkich
borów naszych.

Wiemy dobrze, iż meteorologia nie wyperswa-
duje ludziom tego, czego ani ekonomia, ani smu-
tne doświadczenia i zawody wyperswadować do-
tąd nie zdołały; siekiera dalej gospodarować będzie
zapamiętała, gdzie tylko znajdzie jeszcze gruby
pień na swojej drodze, bo na tych polskich siekie-
rach, niestety, zabłysło francuzkie hasło Ludwika
XV: *après nous le déluge*...

Powróćmy do burz, które nas rozumu uczyć
mają i gromami smagać muszą za lekkomyślność,
czy za nieszczęśliwy obłęd, czy za fatalną nieza-
radność.

Warszawa drogo opłaciła zimną kąpiel, jaką jej
po lipcowych spiekach wyprawilo niebo; tysiące

rubli utonęło w tej wodzie, która splukała nasze ulice i rynsztoki. Co najgorsza, że z rozmaitych stron kraju przychodzą wieści o ważniejszych szkodach, jakie tu i owdzie nawałnice w porze teraźniejszych żniw wyprawiły; ci, co pozbiierali z pól i pospieszyli się ze zwózka zboża, wielkiej pretensyi do ulewy mieć nie będą, bo im odświeżyła kartofle i nadzieje zysków, w połowie za utracone uważanych. A i burakom wykwitną zdrowsze rumieńce po takim podlaniu deszczem, co wszelako nie przyczyni się podobno do obniżenia cen cukru, podnoszących się z termometrem w górę. Przepowiadają, że będziemy jeszcze w roku bieżącym płacić po dwa złote za funt, a niewiele już do tego brakuje.

Ktoreś z naszych pism humorystycznych zrobiło słuszną uwagę, iż lamentujemy, wyrażając piekarzom, gdy chleb zdrożeje o grosz na przednówku, lecz anielską okazujemy pobłażliwość dla słodkich panów cukrowników, którzy nam swoimi podwyżkami nieustannemi zatrzuwają goryczą codzienne życie. Ale to już tak bywa: jednym sztydła gołą, drugim i brzytwy nie chcą.

Jak nam się sprzykrzy ta *hausse* cukrownicza, zrobimy pewnego pięknego poranku *strike* i przestaniemy używać sztucznych słodczy, a przerzucimy się do naturalnych, w czym nam pracowite pszczoły pana Kazimierza Lewickiego na Koszykach dopomogą.

Zacne te stworzenia stały się od pewnego czasu w Warszawie przedmiotem ogólnego zajęcia i szacunku, a to od chwili, gdy powstało jedyne, nie u nas tylko, ale w Europie nawet, Muzeum pszczelnicze, w którym kto ciekawy przyjrzeć się może niezmiernie zajmującej fabrykacyi wosku i miodu przez roje skrzydlatych pracownic. Muzeum to stało się teraz osobliwością Warszawy, której niejedna europejska stolica mogłaby nam pozazdrościć; czegożby w niem niema!... od pospolitych pni litewskich i podolskich do szklanych ulów, od plastrów miodu do stoczków i pierników, od roślin miodowych do biblioteki całej nowożytnej apikultury i mikroskopów, — słowem: wszystkie kraje, odcienie, rodzaje, ulepszenia w pasiecznictwie są tu reprezentowane, w naukowym łańdzu uporządkowane i popularnie dla publicznego użytku objaśnione.

I pomyśleć, że to praca i zasługa, koszt i trud jednego człowieka stworzył!...

Przy Muzeum istnieje także szkoła pszczelnictwa dla bartników postępowych, podobno bezpłatna nawet; coniedziela odbywają się w niej wykłady i praktyczna nauka.

Korzystają z niej skrzętne pszczołki rodzaju ludzkiego, które nam z kwiatów życia częściej słodczy, niż wosk zbierają; przyuczają się i kobiety pszczelarstwa i hodowli rojów. Niedawno temu córka pewnego obywatela z Gubernii Łomżyńskiej ukończyła cały taki kurs i wróciła do siebie na wieś, aby wśród własnej pasieki gospodarować z pożytkiem i powiększyć źródło dochodów ojcowskich.

Możeby się takich więcej córek znalazło po szlacheckich dworach, a i obywatelskim żonom przydałaby się specjalność taka, która, conajwięcej, naraża na bąble od ukąszenia pszczoły, a za pewnia i dochód i przyjemność.

Żądła złych języków bardziej są niebezpieczne i bolą często stokroć więcej, a jednak...

No, nie moralizujemy tylko zanadto. Podczas upałów morały podobne są do natrętnych much, które brzęczą tylko nad uszami i rozdrażniają bezpotrzebnie.

Wyberzmy raczej, jakiś przyjemniejszy, chłodzący temat; trudno dziś o niego na rozpalonym bruku miejskim, więc poszukajmy go na falach zmierzniającej Wisły. Czytelnicy nasi przypomną sobie nasze apostrofy z dawniejszych lat o potrzebie większej dbałości o fizyczny rozwój młodego pokolenia, o zanikającej tężyznie, o i t. d. Dzisiaj możemy z zadowoleniem zatrzeć ręce, bo powstało towarzystwo, które ma na celu wyrabiać zdrowe mięśnie w młodych Warszawiakach (czemuż i nie Warszawiakach!) uczyć zręczności, zwinności, śmiałości, i innych męzkich przymiotów na wodzie i lodzie, z wiosłem i szpadą w rękę.

Towarzystwo wiosłarskie, niegdyś przed kilkoma

laty proponowane jako przedsięwzięcie przez Promykę, zawiązane przez kilku amatorów wiślanej żeglugi, a zorganizowane i energicznie poparte przez D-ra Stankiewicza, zaczęło swój legalny żywot i odrazu tak się sympatycznie umiżnęło do Warszawy, tak dzielnie popisało się na akcie inauguracyjnym, i tak malowniczo przedstawiało się tysiącny tłumom na Wiśle, że dzisiaj cech wioslarzy nabiera u nas takiej powagi i popularności, jak niegdyś... Zakon Maltański.

Pod godło Syreny zaciągają się młodzi i starzy, i z wiosłem na ramieniu stają do szeregu, który oby otoczył cały brzeg Wisły zdrową, rumianą, muskularną załogą amatorskiej floty!...

Szkoda, powtarzamy, iż płeć piękna tylko przypatrywać się będzie z przystani śmiałym wioslarzom i sternikom; paniom naszym i panienkom przydałoby się też trochę więcej zdrowego ruchu i gymnastyki.

Szczodroliwy los postarał się, co prawda, o sposobność do rozruszania płci nadobnej; ale, niestety, nie w celach rozrywkowych, nie na pływających falach Wisłki, nie na wolnem powietrzu, lecz w zamkniętej, sklepionej sali dawnego klasztoru, nie dla zabawy, lecz dla nauczania się pracy. Szczęśliwym cōrom Ewy sposobność ta będzie obojętną, ale biedną, ubogą, wydziedziczoną ich siostry powitają zapewne z radością wiadomość o zakładaniu bezpłatnej szkoły szycia przy ochronie Towarzystwa Dobroczynności w gmachu poddominikańskim przy ulicy Freta.

Hr. Zdzisław Zamojski ofiarował kiedyś hojną ręką 1000 rs. na urządzenie „sali szycia“ dla ubogich dziewcząt, które igłą zechcą zarabiać na kawałek chleba i skromne utrzymanie. Obecnie taka sala otworzy swoje podwoje, zaturkoczą w niej kółka maszyn do szycia, zasiądą przy stolikach młode pracownice i zaczną śmigać igielką, ucząc się kroju i tej najpospolitszej, ale i najpraktyczniejszej dla kobiety sztuki, która najłatwiejsze jeszcze daje u nas utrzymanie.

Biedne to życie tych szwaczek; litowano się nad niemi, przyrzekano ulżyć ich doli, pisano statuta, deklamowano na temat igły, nitki, przekłutego żywota i dano pokój wszystkiemu; zawsze u nas tak bywa, gdy zadużo rąk weźmie się do czego. Owiele lepiej udają się projekta podjęte inicjatywą i energią jednostek; najczęściej zaś „gdzie kucharzy sześć, tam niema co jeść“.

Nastąpiły w Warszawie czasy ogórkowe, ale już chyba nie pójdziemy za brzydkim przyzwyczajeniem felietonistów i nie będziemy powtarzali ich jeremiady na temat upałów, nudów, pustek, wyjałowienia społecznej i towarzyskiej niwy z wiadomości zajmujących. Stare to sposoby łatania kronikarskich gawęd i nikogo nie rozczulą ani nad bosem autora, ani nad omdlałością letniego sezonu. Kto koniecznie potrzebuje rozrywki, ten ją i dzisiaj znajdzie w siedmiu teatrach ogródkowych i ogrodowych, a jeżeli nie ma środka na zabicie czasu, pójdzie do Doliny Szwajcarskiej podziwiać maryonетки, które jacyś Angliacy, czy Amerykanie pokazują za drogie pieniądze Warszawianom i wmawiają w nich, że to ósmy cud świata. Zapewne, dla dzieci niedorosłych i dorosłych, dziwisko to wielkie: patrzeć jak lalki na drucikach naśladować do złudzenia żywych ludzi, jak skaczą, tańczą, przewracają koziołki i odgrywają całe pantominy, ale dla poważniejszych umysłów nuda i męka przez trzy godziny spoglądać na bezduszne automaty, i pocieszać się chyba tem, że się ich widokiem bawiła podobno bardzo... królowa Wiktoria.

W naszej katedrze Melpomeny, w Teatrze Letnim, sami laicy odprawiają nieszpory, bo kapłanie i arcykapłanie bawią na urlopiach; pozostało tylko kilku niemordowanych, którzy, jak mogą, podtrzymują kulejący repertuar. Afisz wymienia szesnaście osób nieobecnych.

Najlepiej-by było zamknąć teatr podczas feryj letnich, jak się to dzieje w większych teatrach rządowych zagranicą; u nas wszelako deficyt nie pozwala na wakacje: trzeba, jak rok długi, pracować, aby konce ze sobą związać. I dyrekcya i reżyserja musi suszyć sobie głowę, jak przebiedować te ciężkie miesiące letnie, kiedy każdy na mocy kontraktu uciec chce jaknajwcześniej i odpooczywać jaknajdłużej.

Obecnie słynna „Carmen“ Bizet'a i „Wspólne winy“ Galasiewicza stanowią jedyne dwa wabiki repertoaru opery i dramatu; bez nich w ogórkowym sezonie byłaby już na głównej naszej scenie zupełna... mizerya.

Mówiąc o teatrze, nie podobna nam przemilczeć pewnej kwestyi, którą podniosły też nasze gazety codzienne, kwestyi z wielu względów może drażliwej, ale zasługującej bądźco bądź na kilka słów uwagi; mamy tu na myśli rolę, jaką od pewnego czasu odgrywa paradyz nasz w teatrze. Stał on się siedzibą jakiejś kamarylli i dziwnego nabożeństwa entuzjastów, którzy terroryzują poważniejszą publiczność objawami swoich osobistych sympatyj i względów dla tej, lub owej artystki. Bywało dawniej, *jaskółka* nadawała prawdziwy ton i nastrój teatrowi, bo zbierała się na niej młoda, świeża intelligencya, która szukała w sztuce pięknych wrażeń, tworzyła niejako areopag krytyki, umiała sądzić zdrowo, patrzeć uważnie i nagradzać oklaskiem to, co nagrody było warte: więc zawsze wybitny talent, zasługę, pracę, zdolność oddawania pięknych myśli autora.

Dzisiaj dzieje się inaczej: *jaskółka* zmieniła się w jakiegoś krzykliwego gawrona, który idzie ślepo na lep pięknych spojrzeń i słodkich uśmiezków posyłanych ze sceny w górne strefy. Zmienił się stosunek młodych widzów do sztuki; oklaski ich przestały być nagrodą, objawem estetycznego zapалу, wybuchem młodości i uczuć szlachetnie wrażliwych, a stały się zdawkowym komplementem zbałamucanej kliki, która tworzy niedoroślą gwardyą tej lub owej „nawnej“ aktorki i „nawnego“ talentu.

Ci młodzi entuzjaści nie chodzą dziś do teatru dla Shakespeare'a, Molière'a lub Fredry, lecz dla panny X. lub Y., której rydwan ciągną na wyseigi; nie zajmuje ich dramat, lub komedia, nowy utwór, lub stare arcydzieło, nie łakną wrażeń dla umysłu, ale przychodzą najczęściej nawet, nie dla gry, lub talentu swych protegowanych, lecz dla ich osoby, dla dogodzenia podrażnionej fantazyi, śmiech powiedzieć, — dla sercowych słabostek.

Dość przejść się po każdym przedstawieniu pod drzwiami prowadzącymi za kulisy, aby jednym spojrzeniem ocenić właściwe powody tego krzykliwego entuzjazmu paradyzowych widzów, którzy gromadnie oczekują tu ukazania się swojej protegowanej.

Nie wiemy kogo bardziej winić: czy tych pociąganych urokiem znajomości z aktorką młodzików, czy owe nierozważne, a może właśnie zbyt wyrafinowane i na popularność polujące kapłanki Melpomeny, wodzące za sobą całą kohortę paziów i wielbicieli niepełnoletnich.

Rozumiemy znaczenie teatru, jako instytucyi żywego słowa i pięknych wrażeń, kształcących młode umysły i serca, ale pragniemy, aby tę rolę spełniała sztuka, aby się wyrabiał smak i zmysł krytyczny, ale nie przedwczesna donżuanerya i duch stronnictwa...

Teatr powinien być zdrową i nieszkodliwą rozrywką dla młodego pokolenia, a nie szkołą przedwczesnych doświadczeń i niedojrzałych aspiracji.

Kończymy na tych kilku słowach refleksyj, jakie w nas zbudziły demonstracyjne oklaski, bukiety, kwiaty, owacy, poświęcane z zapalem godnym lepszej sprawy naszym heroinom scenicznym, i ufamy, że życzliwe uwagi trafią do przekonania szanujących swą godność artystek i ich nieogłędnych protektorów.

Chcąc przedłużyć naszą dzisiejszą Pogawędkę, moglibyśmy jeszcze przytoczyć ustawę, ograniczającą pracę dzieci po fabrykach; wspomnieć o projekcie p. Jankowskiego względem otoczenia Warszawy plantacyami na wzór Krakowa; ucieśnić naszych hippomanów wiadomością o zamierzonej budowie dwóch nowych cyrków pod firmą p. p. Salamonsky'ego i Cinisellogo, donieść o przybyciu hr. Wrschowitz'a, zagadkowego poszukiwacza źródeł wody do picia; moglibyśmy stare lamentacje rozpocząć na temat nieogłędności naszych miast prowincjonalnych, płonących podczas posuchy jak wiązki słomy; moglibyśmy... ale i miejsca i czasu na resztę nie starczy.

Zatem do przyszłego razu!...

BEZWIEDNA MIŁOŚĆ

NOWELLA.

Żaden duch nie jest bez przyjaciół własnych,
Żaden głos nie jest bez echa poza światem.
Słowacki.

Bzy kwitły obficie; niektóre kiście dopiero się rozwijały, inne zasypywały ziemię liliowem i białem kwieciem, znacząc nim tryumfalny pochód bogini wiosny.

Poczynające kwitnąć jaśminy napełniały powietrze rozkoszną wonią. Słońce, zbliżające się ku zachodowi, oświecało różowemi blaski skromny wiejski krajobraz, czyniąc zeń prawdziwie uroczyste ustronie.

Pełne wdzięku klomby z kwitnących krzewów, kasztanów, akacyj, tworzyły nad brzegiem rzeki amfiteatr, w posród którego wznosił się wiejski mały domek. Na wschodkach ganku, między murywanymi filarami, siedziała ciemnowłosa kobieta, w samym kwiecie wieku, mogąca mieć lat dwadzieścia kilka. Płeć jej matowa, bez wyraźnego rumieńca, przy mocno-czerwonych ustach i ciemno-siwych oczach, oprawnych w długie czarne rzęsy, świadczyła o naturze namiętnej i sile uczuć.

Bogato rozwinięte, lecz proporcjonalne kształty i zdrowe białe zęby, widne z nawpół otwartych ust, dawały świadectwo doskonałego zdrowia.... Wzdrowem ciele, zdrowa dusza, powiadają ludzie.

Możemy to zastosować do naszej ciemnowłosej.

Piękny wieczór wiosenny sprawia jej widoczne zadowolenie. Delikatne kształtne nozdrza wciągają z rozkoszą balsamiczne powietrze, usta zdają się uśmiechać do rozkwitającej natury. Siwe oczy ścigają różowe blaski, igrające po falach rzeki; ale zarazem taka w nich głębia, a na gładkiem wytwornem czole, taka powaga, że kto nań spojrzy uważnie, zrozumie, iż ta gonitwa słonecznych promieni nie jest sentymentalną tęsknotą, ani bezmyślnem próżniactwem, tylko wytchnieniem osoby zwykłej pracować energicznie, rekreacją umysłu umiającego się zastanawiać głęboko i poważnie.

Oczy, te oczy siwe, które dziwny kaprys natury obdarza zwykle prawie ludzi o hartownej woli a żywej wyobraźni, dowodziły spokoju ducha, wypływającego ze zgodności czynów z przekonaniem.

A oczy te prawdę mówiły, jest to bowiem panna Helena Zapolska, która pomimo nieodłącznych trudów życia, nie zboczyła z raz obranej drogi i mogła powiedzieć: — Walczyłam, cierpiałam, błędziłam nawet, jako natura ludzka, a zatem niedoskonała, ale nigdy nie skłamałam sobie.

Pannę Helenę znają w okolicy, jako rozumną, szlachetną, przytem zajmującą i pełną wdzięku osobę, jako dobrą córkę, wyrozumiałą panią i uprzejmą sąsiadkę. Chwała ją wszyscy i nie mają jej nie do zarzucenia. „Nie” to za obszernie powiedziane. Chwała ją rzeczywiście wszyscy, jedni dlatego, że ją kochają i cenią, drudzy dlatego, że nie wypada powstawać przeciw ustalonej opinii; zresztą, prawe jej postępowanie wzbudza mimowoli szacunek; ale do zarzucenia mają jej wiele i często. Oto Helena nie powtarza zdań utartych w pewnem kółku, ale ma odwagę wypowiadać swoje własne, albo milczeć przecząco.

Nie czei bałwochwalczo, wielkości i doskonałości swej koteryi, ale, oddając należne uznanie, ośmiela się czasem opponować i na słoneczkach z nieporównanym dowcipem i trafnością upatruje plamy. Umiejąc modlić się szczerze, odwiedzając chorych, opatrując biednych, nie trzyma solidarnie z Ultramontanami; z drugiej strony, nie uznaje racjonalnych, realistycznych powag okolicy. Należąc do koła arystokratycznego, wygłasza zdania demokratyczne, a demokraci znajdują uprzejmość jej zbyt chłodną. „Jakież właściwie jej przekonanie? Do jakiego obozu należy? bo przecież tak są mądrze chodząc po świecie nie można”, — zapytują pocichu jej nieprzyjaciele.

Raz jakiś zapalony demagog zapytał Helenę: — Jednakże powiedz nam pani otwarcie, z kim trzymasz?

— Ze wszystkimi uczciwymi ludźmi.

Tak brzmiała spokojna odpowiedź.

— To za ogólnie powiedziane.

Zatem wytłómaczyć się wyrażniej. Cenię ludzi według ich osobistej wartości, szanuję cnotę, szlachetność, bez względu na osobę. A w towarzystwie przekładam ludzi posiadających wykształcenie i dobre formy.

— A na co te formy?

— O, szanowny panie, jestem do nich przyzwyczajoną od urodzenia; przytem wolę piękno, niżeli brzydotę, a zatem i formy gładkie lepiej przypadają do mego usposobienia, niżli rubasznosc.

— Jesteś pani arystokratką najczystszej wody.

I na ten temat rozpoczął długie kazanie, ale spostrzegł z wielkiem oburzeniem, że go Helena nie słucha.

Właśnie ta niemożebność dysputowania z panną Heleną napawa goryczą najzagorzalszych rzeczników okolicy.

Wiadomo wszem i po wszystkie czasy, że ludziom wogóle więcej chodzi o wygadanie się, niż o przekonanie; a z p. Heleną nie podobna było wygadać się.

Pierwszy raz wysłuchiwała zwykle cierpliwie swych przeciwników, z wielką uwagą. Ale wielkości parafialne lubią przy sposobności, powtarzać swe zdania i przytaczać ulubione argumenty, aby wrazić je w pamięć pokornej publiczności.

Stali wielbiciele słuchają ich z zadowoleniem i uczuciem pewnej dumy. Inni, których to nudzi, myślą przez ten czas o czem innem, albo rozmawiają pocichu, a przerwać nie śmia. Panna Helena zbyt jest żywą i energiczną osobą, aby przestać na podobnie biernej roli; gdy mówca zwraca się do niej z ulubioną przemową i wpada w największy zapał, wtedy na ustach p. Heleny zjawia się swawolny, w półzłostliwy uśmiech i niepoprawna buntownicza rzuca mu jakiś żart wesoły. Wybuchy śmiechu przerywają skupioną uwagę; dalsza patetyczna rozmowa staje się niepodobną wobec rozweselonego towarzystwa i mówca milknie z żalem do swej przeciwniczki.

Taką-to krnąbrną naturę miała nasza ciemnowłosa bohaterka; a jednak, rzecz dziwna: na zadumanej twarzy nie widać ani uporczywości, ani złości; raczej świeci z niej jakaś spokojna łagodność, zapowiadająca wielką pobłażliwość.

I teraz piękny, kasztanowaty wyżeł, leżący u jej nóg, gwałtownem szekaniem przerywa jej myśli; za całą karę śliczna rączka gładzi jego kudłatą głowę, a głos dzwieczny więcej pieści niż strofuje: — Cicho, Lordzie, nie przeszkadzaj mi.

Pies miłosne spojrzenie zwrócił na swą panią, ale wnet zrywa się i biegnie ku bramie. Coraz mocniejszy turkot dochodzi uszu Heleny; czwórka gniadych koni zatrzymuje się przed gankiem, z wolanta wysiada niemłoda dama, ubrana w koronki, i czule ścisła Helenę.

— Droga moja Helo, mam ci coś pokazać, co mnie bardzo cieszy; a nie będziesz się śmiać? — dodaje z poważną wesołością.

— Nie, nie, droga pani; wszystko co ją cieszy i mnie sprawia radość.

— Pocziwa! — i znów starszka przyciska Helenę do serca. — Mam list od mego Zdzisia i jeszcze coś.

— A zdrów?

— Zupełnie, list pełen wesołości, z powodu, jak pisze, cudownego swego uzdrowienia. Bo teraz dopiero przyznaje mi się — tu z oczu starszki płyną łzy — że nie miał już nadziei powrócić do nas.

Wracając do domu, będzie u mnie; teraz przysłał mi swą fotografią, w węgierskim stroju; a jak mu w tem ładnie! I z figlarnym uśmiechem podaje Helenie gabinetową fotografią ślicznego bruneta, w obcisłym szmerowanym kostiumie i kożusku spadającym z ramion. — A co? prawda, że ładny?

— Zawsze go znajduję pięknym bardzo — odpowiada z grzeczną obojętnością Helena, — wolę go jednak w zwyczajnym stroju; za łagodną ma twarz do tego kostiumu.

— Bo pocziwy. A list — jaki serdeczny! Weź go i przeczytaj.

— List syna do matki, — powiada z pewnem za-

kłopotaniem Helena — nie śmiem, to będzie nadużycie.

— Kiedy ja proszę cię o to; moje drogie dziecko, — dodaje stara dama, przyciskając głowę Heleny do serca — ja cię tak kocham!

— O! i ja panią kocham i szanuję z głębi serca i wdzięczną jej jestem za ten dowód zaufania, — mówi z rozczuleniem Helena, ale dodaje, prostując się. — Pozwoli pani hrabina, że ją odprowadzę do rodziców.

— Sama do nich pójde — idź do siebie z listem i zabierz fotografią; u ciebie będzie bezpieczniejszą. I krokiem elastycznym, eleganckim poszła w głąb domu.

Helena pozostała sama z listem i fotografią.

— Pocziwa ta hrabina Wigorska! kocha mnie niezasłużenie; prawda, że i ja szczerze ją kocham. Ale to jeszcze nie powód, abym czytała listy pana Zdzisia, którego tak mało znam. Śliczny chłopiec, ale nie zajmujący; wątpię, aby w tym liście było co ciekawego. O, — dodała, wyjmując list z koperty, zapisany na cztery strony. — Może opis Węgier; w takim razie trud się opłaci. Wątpię jednak, aby poglądy jego miały głębszą myśl.

Poszła z rezygnacją do swego pokoju; położyła fotografią na biurku.

— Ładny chłopiec, ale w tym stroju przypomina mi chórzystę teatralnego. — Z listem w ręku usiadła przy otwartem oknie, ale nie pilno jej było czytać. Rozparła się wygodnie w fotelu, wyciągnęła nóżki, ziewnęła, ręce z listem opadły na kolana, a oczy błędziły obojętnie po pokoju, potem wybiegły za okno, pod którym stał się kobierzec z zieloności i kwiatów. Wzrok ślizgał się z kwiatka na kwiatek, podniósł na krzewy, zatrzymał chwilę na drobnych ptaszekach, podlatujących na wierzchołku starej gruszy i utonął w błękitach niebios, a myśl tęskna pognęła w dal. Po chwili ciche westchnienie rozwarło karminowe usta, delikatna ręka przesunęła się po czole. Helena otrząsała się z zadumy i czytała list. Pismo było niewyraźne; Helena opuszczała po parę wierszy; narazie, doszedłszy do końca czwartej stronicy, podniosła głowę, i z wyrazem niewypowiedzianego znudzenia, szepnęła cicho: — Co mnie to obchodzi, że piękny paniczek, chcąc zrobić przyjemność mamie, fotografował się w węgierskiej odzieży, którą — przez u — pożyczyl u znajomego. Dlaczego ten list kazało mi czytać; chyba dlatego, że zawiera bardzo piękne ukłony dla mnie? Myślałam, że go przecież rozbudziła piękna górską krainą. Naród, który historia łączy z nami, a terazniejsza polityka rozdzieliła, który przeszedł koleje podobne naszym, ojczyzna Poteofiego: a tu nic, ani o terazniejszości, ani o przeszłości, jakby natura, poezja, historia nie obchodziły go wcale! Za to pełno utyskiwań na kuchnię i brak komfortu i tęsknota za swemi trzydziestu sześciu surdutami, których nie mógł zabrać, zatem musiał w Wiedniu sprawić cztery i cieszy się, że ma ich czterdzieści. Okropność! Na co mu tyle ubrania? Nie dziwię się teraz, że inne kwestye nie zajmują go, kiedy tak myśli o przyozdobieniu swej osoby. I to meżczyzna, pan stworzenia, podpora społeczeństwa! List pozbawiony głębszej myśli, nie wzbudzający najmniejszego zajęcia: czemu pokazywać go obcym? Wprawdzie serdeczny, ale cóż mnie to obchodzi? Kocham i cenię hrabinę i cieszę się, że ma przywiązanego syna; ale dlaczego kazała mi czytać ten list? Chwalić nie mogę, a prawdy powiedzieć nie wypada. Dlaczego kazała mi czytać? i to zaraz?

Helena wstała i przeszła się parę razy po pokoju.

— Oh! j'y suis! Pewno uzdrowionego synka chce mi ofiarować. On i ja! On pragnie miliona, a ja trochę więcej wykształcenia.... Rodzice nasi w przyjaźni, matka jego jest mi drugą matką prawie.

Zbliżyła się do biurka. — Śliczny chłopiec, jak marzenie, ale ograniczony. — Zaśmiała się. — Zresztą, on koniecznie potrzebuje miliona! Ha, kto wie? tyle dostał harbuzów od milionowych panien, a ma lat trzydzieści parę; matka jego pragnie koniecznie tego związku i nie tai się z tem wcale: dla jej przyjemności, zgodzi się może i na parękroć. Moja osoba nie wchodzi tu w rachubę: postanowił ożenić się koniecznie; w braku innych, mnie

ofiaruje swą rękę. — A ja? — Nie, nie, nigdy; znu-
dziłby mnie w przeciągu tygodnia. — Wsunęła fo-
tografię i list pod jakąś książkę, leżącą na biurku
i wsparła głowę na obu dłoniach. — Ale ja także
jestem pospolitą istotą: dlaczego tak niemiłosiernie
przebiegam? Tyłu już odmówiłam, mam lat
dwadzieścia siedm, a wybrać nikogo nie mogę.

.... „Jeśli na prawdę pan Zdzisław będzie się
o mnie starał, dlaczego miałabym od mawiać?
Młody, piękny, z dobrem nazwiskiem, zamożny;
obie rodziny życzą sobie tego związku; matka
jego zacna, anielska staruszka. Ci nasi wy-
kształceni tacy oryginalni, szorstcy, obstający
uparcie przy swem zdaniu, które niezawsze jest
doskonałe; a wreszcie przynajmniej ci, którzy
o mnie się starali, tacy brzydzy! Bru, nie znoś
szpetnej, wstrętnej powierzchowności i szorstkie-
go obejścia! to nad moje siły. Wszystkiego razem
znaleźć nie podobna. A kto wie, czy słodycz cha-
rakteru i dobre wychowanie nie lepsze od szorst-
kiej mądrości, imponującej co chwila? — A miłość? —
myślała dalej, — gdzie ona? czy jej niema na świecie,
czy tylko ja jej nie znajduję? Nie znajduję, ale czu-
ję, że umiałabym kochać, głęboko, namiętnie z za-
pomnieniem siebie samej. — Nie, ja nie mogę zabi-
jać własnego serca. Nie znoś kłamstwa w sło-
wach a tembardziej w życiu. Kłamać całe życie
teru, komu wobec Boga i ludzi przysięga się mi-
łość. Nie! to byłoby zbyt nikczemnie względem
niego, a zbyt okrutnie względem siebie. Ta rola
niechaj pozostanie tym, którzy naprawdę kochać
nie umieją. Ja wolę nawet samotną, opuszczoną
starość, niżli fałsz i obłudę.

„Wdzięczną jestem wszystkim tym, którzy mnie
chcieli poślubić, przyjaźni zachowam im zawsze,
ale kochać nie mogłam żadnego“.

Wzrok jej padł na wyższe półeczki biurka; na
jednej z nich stała w rzeźbionych ramkach foto-
grafia młodzieńca, siedzącego na balustradzie i
wspartego oną oburękami. W całej postaci panował
jakiś wdzięk niepretensjonalny; spadające w tył
bujne włosy odsłaniały pyszne czoło, a wyraz
oczu był tak niepospolicie rozumny, i tak głęboki,
jakby nawet przez krótką chwilę trudno było mło-
dzieńcowi temu zająć się taką fraszką, jak pozo-
wanie.

Po ustach Heleny przemknął się uśmiech nie-
wypowiedzianie słodki. Gdyby który z nich po-
dobnym był do tego! Drogi mój ukochany braci-
szek Waciu! Czemu ty nie jesteś moim rodzonym
bratem? bylibyśmy razem! — Myśl jej cofnęła się
w przeszłość. Helena przypominała sobie, jak da-
wno już, bo dziewięć lat temu, wracała z matką
z sąsiedztwa. Noc była cudna, księżycowa. Lu-
biała jechać w noc taką, choćby do rana. Ale
wtedy właśnie nie wiedziała, dlaczego pilno jej
było stanąć w domu; miała przeczuć, że zastanie
kogoś miłego. I oto właśnie, dojeżdżając do do-
mu, dojrzała, pomimo ciemności, czarną postać
mężką, rysującą się wdzięcznie na białym tle
muru.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICY

J. I. Kraszewskiego.

Lamartine. — W. Hugo. — „Torquemada“.

Pulvis et umbra sumus! Wykrzyk ten, powta-
rzany przez lat tysiące, wyrwa się z ust mimo-
woli, gdy się w dziejach piśmiennictwa rozpatruje-
my. Z wielkich a głośnych ludzi jak mało pozo-
staje w pamięci pokoleń, a i ci pozostali jak są
najczęściej do żywych niepodobni, i — zmienieni
po śmierci!

My starsi jużśmy przeżyli niejedną gwiazdę
wschodzącą, błyszczącą świetnie, głoszoną za nie-
śmiertelną i przedwcześnie zagasłą. Nie mówiąc
o naszych własnych znakomitościach, dla których
część i poszanowanie pierwsze z każdym dniem

słabną, z europejskich ilustracji niejedną w oczach
naszych pogrzebano.

Do tych zapomnianych zaprawdę, przechwalonych
za żywota, a skrzywdzonych po śmierci, należy mię-
dzy innymi Lamartine. Pamiętamy zachwyt, jaki
wywoływało — „Jezioro“, i chłód, z jakim ostatnie
prace znużonego poety i chybionego męża stanu
przyjmowano. A potem? potem nastąpiła wielka
cisza grobowa i imię rozgłosne okryły mgły nie-
przebyte zapomnienia.

W chwili, gdy to piszemy, zaczynają się odzy-
wać głosy oskarżające naród o niewdzięczność,
potomność o niesprawiedliwość. Wspomnienie
poety nanowo odżywiło wydanie pobożną ręką ze-
branej korespondencji Lamartine'a (1807—1852),
przez panią Walentyne Lamartine (cztery tomy
— Hachette). Poeta i polityk cały się w niej od-
bija i przedstawia z nowej strony, człowiek także
zdradza się ze wszystkimi słabościami i szlache-
tnymi złudzeniami. Więcej się z tego zbioru pe-
wno nauczyć można, niż z samych dzieł przezna-
czonych dla ogółu i w myśli wystąpienia przed
nim pisanych. Korespondencya pani Sand (dotąd
dwa tomy), listy Lamartine'a, Balzac'a, mnóstwo
podobnych zwrotów do przeszłości, dowodzą, że
dzisiejszy stan literatury z rzewnem uczuciem ka-
że się oglądać na stare dzieje, bo nowe nie obu-
dzają wielkiego zajęcia.

Jak granitowa kolumna stoi tylko jeszcze wśród
gruzów przeszłości, niepożyty, ale starzejący wi-
docznie Wiktor Hugo. Z poszanowaniem dla
wieku jego i sławy, z pomiarkowaniem wielkiem
przyjęto we Francyi, ostatni dramat wieszczą,
„Torquemadę“.

Jest to zawsze ta znana muzyka pięknego wier-
sza, ta gra antitez, ten obraz świetnego kolory-
tu, ta potęga słowa, do jakiej z ust sędziwego au-
tora „Legendy Wieków“ nawykliśmy. W „Torque-
madzie“ jest to zawsze tensam Wiktor Hugo, ale
pieśń, której nasłuchaliśmy się od tak dawna, nie
czyni na nas tego, co niegdyś, wrażenia.

Nim opowiemy, czym jest ten dramat, albo ra-
czej poemat dramatyczny, bo trudnoby go wysta-
wić na scenie, tak, jak go dał poeta, dodajmy, że nie-
ubłagany sąd potomności rozpoczyna się już dla
żyjącego jeszcze starca. Wielbiciele i przyjaciele
jego milczą, ale przeciwnicy wytaczają mu ten
proces, który był nieuniknionym. We francuskim
przeglądzie: „Le Correspondant“ p. Ed. Biré
przedstawia Wiktora Hugo, jakim był przed ro-
kiem 1830, aby okazać, że niezawsze jednym i nie-
zmiennym pozostał. Wskazuje on, jakim zmianom
uległa redakcyja poezyi, cytując wyjątki z dawnych
wydań, opowiada o stosunkach poety z królem i
pensjach, jakie miał od niego. Obóz, do którego
„Correspondant“ należy, cel tych rewelacyj tłó-
maczy.

Przyjaciele poety odpowiedzą milczeniem na te
zarzuty, które się odeprzeć nie dają, a on sam
może nawet wiedzieć nie będzie o zuchwałem tar-
gnięciu się na jego charakter.

Lecz powróćmy do „Torquemady“, któremu list
ten poświęcić chcemy (Torquemada. Drame.
Troisième Édition. Levy. 8-o, 203, pp.) Dramat
składa się z długiego prologu pod tytułem: *In pace*
i czterech aktów. Scena przedstawia cmentarz
stary w Katalonii przy klasztorze Laterran, mni-
chów Augustyanów obserwantów S-go Rufa, w głę-
bi którego widać mur obalony, a dokoła groby.
Na przodzie sceny otwór obmurowany, ze wscho-
dami prowadzącymi w głąb i przygotowanym do
zamknięcia go kamieniem. Na scenie przy pod-
niesieniu zasłony stoi przeor zakonu, a w głębi
widać przechadzającego się starego mnicha w ha-
bicie Dominikanów.

W chwili, gdy przeor rozpatruje się w murach
porozpadanych cmentarza i porośłych chwastami
mogiłach, wchodzi przez wyłom nieznany czło-
wiek. Przeor każe mu precz ustąpić, grożąc
śmiercią za naruszenie klauzury, a nieznajomy ob-
jawia mu się nagle jako król (Ferdynand) i na-
wzajem odgraża się powieszeniem mnicha. Nad-
ciągają towarzysze króla, markiz Fuentel, Gucho,
blazen królewski, i dwór. Król przebacza przeo-
rowi z warunkiem, ażeby mu szczerą prawdę po-
wiedział, co się w klasztorze dzieje; ale zamiast go
badać natychmiast, trochę się pomodliwszy, roz-
poczyna osobliwą rozmowę z markizem, która

ma na celu odmalować rysy jaskrawemi i dobitne-
mi charakteru króla i jego — powiernika. Król
maluje się jako zuchwały i samowolny pan, pra-
gnący tylko żyć i używać bez kresu; lekceważący
ludzi i posługujący się niemi, ale zarazem poswo-
jemu wielce pobożny. Markiz wart jest swojego
pana; obaj się nienawidzą, są sobie potrzebni. Ro-
zumu i przebiegłości więcej okazuje Fuentel. Król
dekluuje cztery stronnice pięknych wierszy, czu-
jąc się natchnionym; ale cała ta scena tak jest
gwałtownie naciągniętą, tak nienaturalną, że ją
chyba te piękne wiersze usprawiedliwiają.

Znamy już króla i p. Fuentela; następuje roz-
prawa z przeorem, którego Ferdynand dopytuje o
mnicha Dominikanina błazniącego po cmentarzu.
Mnich ten jest to pół-święty, napół szalony Torque-
mada, którego tu zesłano za karę, że świętością
lub szaleństwem przechodzi innych.

Dowiedziawszy się o mnichu, król bada przeora
o inne rzeczy; o kobiety, potem o grób otwarty,
przeznaczony — przeor nie mówi dla kogo. Wtem
na cmentarzu ukazują się przesłiczny młodzian i
cudnie piękne dziewczę.

Ta para, według poety oddana jest na wycho-
wanie do klasztoru! i — wychowuje się tu ra-
zem!! Osobliwy klasztor i szczególna reguła i
klauzura! *sed poetis et pictoribus omnia licent*.
Dziewczę zowie się Rozą Orthez, a chłopak Szan-
szą Salinas. Połączenie tej pary książątek ma na
celu oderwanie od królestwa Ferdynanda księztw
Orthez i Burgos. Król z tego zwierzenia się
przeora przedsięwzięcia korzystać i wyzyskać dla
siebie połączenie młodej pary.

Należy dodać, że ów Sanchez, uchodzący za pra-
wego potomka książąt — jest wnukiem Fuentela,
który na dworze ich był niegdyś paziem. Fuen-
tel uczuwa, dowiadując się o tem, miłość ojcowską
dla tego potomka i przygotowuje się bronić go
wszelkimi środkami, bo Ferdynand nie jest
jeszcze pewnym: czy tę parę połączy, czy dziew-
czę weźmie dla siebie, a Szansza zabić każe.

Niewiadomo, jak i dlaczego król odchodzi, aby
markiz miał czas rozmówić się z przeorem, potem
przeor znika, aby markiz rozprawił się z królem.
Sceny malowane jaskrawo; wyrazy strzelają jak
bomby; logiki nie trzeba szukać.

Scena piąta jest jakby ręką Boucher'a lub Vat-
teau malowana. Szanszo i Roza bawią się sobą,
motylami i kwiatkami. Po czarnych barwach i
płomieniach, koloryt dla kontrastu mdły i wypło-
wiału smutnie. Gdyby nie Wiktor Hugo scenę
tę napisał, byłaby ona — powiedzmy otwarcie —
śmieszna.

Pozbywamy się nareszcie dwojga kochanków
z różami i motylami, a występuje w ich miejsce
stary mnich — Torquemada i przez sześć stronic
rozwinia przed nami swą teorię zbawiania rodzaju
ludzkiego. Jest on najmocniej przekonany, że, aby
ludzi od piekła ocalić, należy ich palić żywcem na
stosach. Tym sposobem odbiera się ich szatano-
wi. Wielka miłość czyni go okrutnym. Nie po-
trzebujemy mówić, że deklamacyja Torquemady
jest bardzo pięknym wierszem napisana. Nie dzi-
wujemy się, gdy potem przychodzący biskup bie-
dnego obłąkanego mnicha skazuje na zamknięcie
żywcem w grobie — *in pace!* Torquemada, od któ-
rego wymaga biskup wyrzeczenia się swych prze-
konań, woli dobrowolnie zstąpić do grobu, niż się
ich zaprzeć. Powolnie schodzi skazany, na każ-
dym wschodzie wyzywany do poddania się, aż
w głąb *in pace*, i wieko zapada na nim. Nieza-
przeczenie scena to piękna, pełna grozy, ale kunszt
w niej tak widoczny, poeta tak widny, sztuka tak
naiwnie namacalna, iż czujemy się, patrząc na nią,
w teatrze, nie na świecie rzeczywistym.

Prolog naostatek kończy się tem, iż powracają-
cy Szanszo i Roza, posłyszawszy głos zamknięte-
go w grobowcu Torquemady, podnoszą wieko i
uwalniają go. Szanszo jednak nie mógł tego ina-
czej dokonać, jak z pomocą żelaznego krzyża, któ-
ry wyrwał z jakiejś mogiły. Popełnił więc świę-
tokradztwo! Torquemada nie wie o tem, ale oswo-
bodzony poprzysięga mu wdzięczność.

W akcie pierwszym znajdujemy się w Burgos,
gdzie król Ferdynand przygotowuje małżeństwo
Szansza z Rozą, ale w chwili, gdy się ona ma spe-
nić, sam jeszcze niewie, czy ma ożenienie to dopu-
ścić dla widoków politycznych, czy narzeczonego

zabić a Rożę wziąć dla siebie. Do ostatniej chwili król się waha i potrzebuje posłyszeć, co mu doradzi Fuentel, aby postąpić przeciwnie. Markiz, broniąc wnuka, jaknajmocniej namawia króla, aby go kazał — zabić.

Po nadzwyczaj długich naradach, rozprawach i namysłach, gdy nowożeńcy przychodzą już po błogosławieństwo, nagle król Ferdynand Sansza odsyła do klasztoru, a Rożę do mniszek.

Cały ten akt jest, jakby sen gorączkowy, który krew wzburzona poplątała najdziwniej.

Akt drugi jest wstawką niemającą z całością najmniejszego związku. Jesteśmy we Włoszech, w pustelni S. Franciszka a Paulo, abysmy mieli przyjemność posłyszeć rozmowę jego z Torquemadą i zobaczyć papieża Borgię, występującego jako myśliwca. Jak go odmalował poeta, domyślić się łatwo. Borgia daje Torquemadzie pozwolenie palenia heretyków, ile mu się podoba, z warunkiem, aby ich dobra przypadły dla rodziny Borgiów. Bardzo pięknym chciał poeta uczynić S. Franciszka, męża istotnie przejętego miłością Bożą i ludzi, ale on służy tu tylko do kontrastu z Borgia i Torquemadą.

Cały ustęp ten, ze wszystkimi deklamacyami bombastycznymi, wygląda tak jakby był — *après coup* dorobiony.

W akcie trzecim przenosimy się do Sewilli. Torquemada zamierza palić żydów na stosach; ci próbują się okupić przez Fuentela. Król Ferdynand, gotów niemal już przyjąć okup od żydów, dla ocalenia jedności akcyi dramatu, przypomina sobie, że się szalenie kocha w Rozie, którą zamknął do klasztoru. Markiz wszechmogącego pana straszy Torquemadą i dowodzi mu, że on większą ma potęgę od niego. Nie zraża to zakochanego Ferdynanda, który rozkazuje Fuentelowi z klasztoru wyprowadzić Rożę i zamknąć ją w miejscu dla niego przystępnym. Daje mu jeden klucz. Od tej kryjówki, drugi chowa do szuflady, z której blazen Gucho wykrada go, aby go wręczyć Torquemadzie, którego się boi. Król i królowa modlą się, rozmyślają, czy przyjąć okup od wielkiego rabina i żydów oswobodzić, gdy Torquemada ukazuje się, gromi ich i, straszliwie nagroziwszy i nadeklamowawszy obojgu królestwu, skłania ich do skruchy i pokuty. Żydzi idą na stos, a złożony okup do skarbcza króla...

Torquemada w uniesieniu, szczęśliwy, tryumfuje i cieszy się, a wiersze mu płyną cudowne o spaleniu i stosach.

Koniec końców — akt czwarty. Torquemada w Sanszu i Rozie poznaje tych dwoje ludzi, co go z grobu uwolnił; gotów jest więc oswobodzić ich i ocalić, bo ma potęgę wielką, ale naiwny Szanszo opowiada mu, jakim sposobem podniósł wieko i że użył do tego wylamanego krzyża! Torquemada nie może inaczej świętokradzcy, nieświadomemu swego grzechu, okazać miłości i wdzięczności, jaką ma dla niego i Rozy — jak palić ich oboje na stosie.

Tym sposobem zapewnia im — zbawienie!...

W chwili, gdy dwoje kochanków szczęściem swem się cieszą, pewni, że ich wybawiony połączy, ukazuje się processya złowroga, chorągwie z trupami głowami... i — zasłona zapada.

Taka jest treść i budowa dramatu, jeśli się nie mylimy, w młodych latach, w gorączce romantyzmu, osnutego, porzuconego, dokończonego później, noszącego na sobie cechy niedojrzałości razem i zgrzybienia. Bardzo piękne wiersze, harmonia ich, blask kolorytu oslepiający, paradoxa odurzające, antitezy cudne, całe bogactwo geniuszu poetyckiego Wiktora Hugo, nie mogą ocalić tego dzieła, w którym fantazja cugle zerwała i uniosła się na bezdroża. Są może na świecie charaktery takie jak Ferdynanda, lecz z pewnością światu się one usiłują inaczej przedstawić. Człowiek taki, jakim go tu daje poeta, wprost jest niemożliwy. Potworność nawet ma granice i w naturze i w sztuce.

Postać, która miała być charakterystyczną wielce, stała się karykaturą. Torquemada wygląda na szalonego; naiwna para kochanków zdaje się wykrojona ze zbladłego płótna, nie z ciała i krwi... Nie podobna nam pojąć: jak mógł człowiek tak genialny puścić w świat dzieło tak ułomne, tak śla-

bo zbudowane, tak dziecinnie prawie zsyte z kawałków, które zamiast podnieść efekt kontrastem, razią nieharmonijnym nastrojem tonów niezgodnych z sobą.

Niemówiąc już o drugim akcie, zupełnie zbyt-czym, i zamiast akcyi, niezbędnej w dramacie, będącym jedną tylko deklamacją przesadną, całość ledwie się trzyma z sobą.

Główna postać głęboko wierzącego fanatyka jest zapewne oryginalnie pojętą, ale tak fałszywą, jak inne. Fanatyzm inaczej rozumuje, tłumaczy się, odziewa w inne szaty. Cóż powiedzieć dopiero o podstawie historycznej, na której się to wszystko ma pozornie opierać? Wiemy o tem, że ani ścisłości dziejowej, ani niewolniczego poddania się faktom po poecie wymagać nie mamy prawa; jednakże swoboda interpretacji i ożywiania zmarłych postaci, musi się rachować choć z ludzkim prawdopodobieństwem. Tu nie ludzi widzimy, ale — komedyantów, a niekiedy gorzej jeszcze, bo chyba nieszczęśliwych, którym się udało wyrwać z domu obłąkanych. Jestli to poetycznem dlatego, że jest tak jaskrawem? Nie, bo poezya na prawdzie się musi opierać, a tu jej wcale niema. Skrzydła i rogi, które mytologia starożytnych przyczepiała do postaci na wzór człowieczy tworzonych, naturalniejszymi się wydają niż uczucia i myśli, które poeta narzucił tu swym bohaterom. Wszystko to wygląda poczwarnie, a para kochanków, mająca być naiwną, jest tak jakoś sentymentalnie dziecinna, sztywną zarazem i konwencyonalnie narysowaną, że nie współczucie ale zdziwienie obudza, iż zpod ręki mistrza mogła wyjść tak pospolitą i — niezgrabną.

Wyda się zapewne zdanie nasze o tym dramacie zasurowem, bo przypuścić trudno, ażeby autor „Lukrecyi“, „Hernaniego“, „Burgrafów“ miał tak niezręcznie zbudować i wykonać tak dziwacznie, dzieło w późnym wieku, przy ostygnięciu i rozwadze starości w świat puszczone.

Tłumaczy się to tem, że W. Hugo więcej na ten raz słuchał zdania wielbicieli, niż własnego. Czuł pewnie trzymając tak długo w tece ten dramat chybiony, bo od lat wielu wzmiankę o nim i zapowiedzi spotykamy, że Torquemada nie jest arcydziełem. Czytano go w małym kółku i unoszono się nad pięknoscią pojedynczych ustępów, niebaczając na ułomną całość; nalegać musiano na poetę i dramat ukazał się nareszcie. Gdy wszystkie inne dzieła poety, zwykły były obudzać żywe zajęcie, nietylko we Francyi, ale w całym czytającym świecie, „Torquemada“ przechodzi niemal niepostrzeżony. Francuzkie pisma dają o nim bardzo krótkie sprawozdania, podnosząc tylko oryginalne pojęcie charakteru głównego, który W. Hugo uczynił — głęboko przekonany i szczerem, pełniącym okrucieństwa największe przez niezmierną miłość dla ludzi i religijne uczucie. W Niemczech i Anglii ledwie się spotkać możemy ze wspomnieniem o poemacie. Niema wątpliwości, że ci, co cenią poetę, ostatnie to dzieło przyjęli ze smutkiem i przykrem wrażeniem.

Wielu krytyków przypisze zapewne ułomność utworu zgrzybłości poety; nam się zdaje przeciwnie, że on jest owocem lat dawniejszych, dopełnionym tylko i przejrzanym ostatecznie nanowo. Mówi zatem nie tylko fakt, że o Torquemadzie czytamy wzmianki od lat wielu, ale samo rozpatrzenie się w jego treści i w wierszu nawet, bardzo nierównym i niezawsze szczęśliwym. Z pewnych względów dramat przypominał nam rysunki Dorego. Tażsama tu zamaszystość, brawura, też przeciwstawienie gwałtowne światła i ciemności, bez przejść, stopniowań i półcieńców, ta sama pstroczna raziąca, i — niewytrzymujący krytyki obrys przedmiotów, fantastycznie wylaniających się z czarnego tła, w którym ginie to, co się czysto i jasno, z prostotą i spokojem, drżącą ręką nie dało nakreślić.

KLEF

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE

przez

Abrahama Dreyfuss

przekład z francuzkiego M. Kostrowickiej.

(Dalszy ciąg).

Scena V.

Filip i Henryk

Henryk

Wiesz, bardzo żałuję, żeśmy przyjechali.

Filip

Dlaczego?

Henryk

Bośmy tak źle trafili... nie można gorzej.

Filip

Przeciwnie.

Henryk

To pomysł mojej żony! Ja nie chciałem... przynajmniej czyniłem uwagi... Ale jak zaczęła nalegać! Po trzech już miodowych miesiącach, mówiła, nie pogniewacie się wcale za przerwanie samotności.

Filip

Prawda!... Wielka prawda!...

Henryk

A więc... Amelia miała słuszość... Nie idzie jakoś.

Filip

Nie, mój przyjacielu... nie idzie.

Henryk (ze smutkiem)

Ah! biedny przyjacielu! (ściskając go za rękę) Szczerze cię żałuję.

Filip

Dziękuję ci.

Henryk

Serdecznie cię żałuję. Mojem zdaniem, nie straszniejszego nad niedobrane małżeństwo... Zdaje mi się, że gdybym się nie zgadzał z moją żoną, to chyba utopiłbym się.

Filip

Jeżeli to ma być rada mnie dana.. (czyni ruch, jakgdyby chciał wyjść).

Henryk (zatrzymując go)

Ale, daj-że pokój... Przecież rozmawiamy tylko... Czy już i rozmawiać nie można?

Filip (nieco podrażniony)

Owszem!

Henryk

Wszystko, co ciebie dotyczy i mnie obchodzi... a raczej nas obchodzi, bo wiesz przecież, że Amelia i ja....

Filip (uśmiechając się)

Stanowicie jedną osobę w dwóch postaciach.

Henryk (*dobrodusznie*)

Tak, na honor!... I to rzecz łatwa do wytłomaczenia: ona taka dobra, poświęcająca się, serdeczna... (*zmieniając ton mowy*) Ale mówmy o was, bo tu o was należy się trwożyć.

Filip

O!....

Henryk

No!.... Cóż tu zaszło?

Filip

Jak-by powiedzieć: nie.... nie i wszystko!

Henryk

Jednakże nie pogniwialiście się bez przyczyny: musi być jakiś powód.

Filip

Naturalnie, że jest.

Henryk

Jakiż?

Filip

Zaczął się od Klefta.

Henryk

Od Klefta?

Filip

Tak jest, tak! od Klefta! Jakto.... nie wiesz co jest Kleft? K, l, e, f, t.... Kleft!

Henryk

Ah!.... Grek?... mężczyzna noszący spódnicę?

Filip

Jeżeli chcesz.... tak.... Otóż masz rzecz.... historią Klefta.... Ale najpierw....

Henryk (*który poszedł był w głębi sceny po krzesło*)

Ale najpierw.... (*siada*).

Filip (*siadając także*)

Wiesz zapewne, że to Klara chciała naszego tu pobytu.

Henryk

W miejsce tradycyjnej poślubnej podróży, co właśnie nas zdecydowało do wyjazdu, moją żonę i mnie.

Filip

Doprawdy?

Henryk

Powiedzieliśmy sobie: skoro oni do Włoch nie jadą, to my jedźmy za nich.

Filip (*uśmiechając się*)

Winszuję ci.... (*ciągąc dalej opowiadanie*) Przyjechaliśmy więc tutaj. W zimie, na wsi, jak wiesz, wieczory są długie....

Henryk (*przecząc*)

Ależ!

Filip

Są niekiedy długie! (*ironicznie*) Nam nie przyświecało tak, jak tobie, neapolitańskie słońce.

Henryk (*z zapalem*)

Rzeczywiście w Neapolu....

Filip

Zaproponowałem więc Klarze głośne czytanie wieczorami. A że ja dobrze czytam....

Henryk

Tak?....

Filip (*skromnie*)

Tak, mam pod tym względem kawałek sławy.

Henryk

Trzeba umieć wdychać i wydychać.

Filip

Właśnie też umiem wdychać i wydychać.

Henryk

Dobrze! Mów dalej.

Filip

Szczególniej dobrze czytam poezję. Wybrałem Wiktora Hugo, który się doskonale nadaje do głośnego czytania. (*dekluje*).

„Księżyc był jasny i drżał na fali“
Co to za potoczysty wiersz!

Henryk

Oddajesz doskonale jego melodyjność.

Filip

Tego nie mówię.... ale przyznaję, że doświadczam prawdziwej przyjemności, wygłaszając tę rytmu cudowną harmonię. Czytałem więc mojej żonie jedną z najpiękniejszych „Pieśni Wschodnich“; gdy przyszedłem do ostatniej strofy:

„Nie wziął jej pasza....“

Przypominasz sobie?

„Ale Kleft młody,
Który za miłość nie dał nagrody
Brzęczącej cekinów złotem“.
(*Filip, uniesiony zapalem, podniósł się z krzesła*).

Henryk (*podnosząc się także, deklamuje dalej*)

„Klefta majątkiem niebios pogoda“....

Filip (*jak wpierw*)

„Celna gwintówka, studzienna woda“....

Henryk

„Wolność pod niebios namiotem“.
Przepyszne!

Filip

Rzecz zachwycająca, nieprawdaż?

Henryk

Niewymownie.

Filip

Otóż, mój drogi, żona moja wysłuchiwała tego bez najmniejszego wzruszenia.

Henryk

Cóż znowu!

Filip

Bez najmniejszego wzruszenia! Ani drgnęła! Jak głaz....

Henryk

Trudno mieć o to do niej pretensję. Nie sądziła, że ci przykrość sprawi!

Filip (*urazony*)

Nie rozumiesz mnie. To nie deklamator był we mnie obrażony — nie szukam chluby z mego skromnego talentu — ale obrażonym był człowiek, wiel-

biciel poety, niepojętego przez tę nieszczęśliwą kobietę.

Henryk

Któż ci powiedział, że nie pojęła....

Filip

Widziałem doskonale! Czy wiesz, jaką mi dała odpowiedź, gdy ją zapytałem o wrażenie doznane. Czy wiesz?....

Henryk

Nie!

Filip

Odpowiedziała: (*naśladując głos żony*) Nie podobą mi się brzmienie „Kleft“.

Henryk

Czy jej wytłumaczyłeś co ten wyraz znaczy?

Filip

Naturalnie, że wytłumaczyłem! Ale wytłumacz co kobiecie, która ci ciągle odpowiada: — Oóż chcesz mój drogi, nie podoba mi się brzmienie „Kleft“.
(*z gniewem*) Bylbym ją zabił!

Henryk

No, to byłoby zbyt surowo!

Filip

Eh! mój kochany! Gdy się człowiek czuje młodym, gorącym, entuzystą i gdy spostrzeże, że poślubił kobietę zimną, apatyczną, bez uczucia.

Henryk

Bez uczucia! W każdym razie nie względem ciebie; przypominam sobie, jak jeszcze, będąc panną, rumieniła się, mieszała, gdy wchodziła do salonu.

Filip

Być może... Kochała mnie; może jeszcze kocha...

Henryk

Bądź tego pewnym.

Filip

Ależ powtarzam ci, że nie tylko przywiązania żądam od żony; żądam wspólności myśli i pojęć we wszystkim, co dotyczy mnie, moich uczuć, idei, nawet moich fantazyj! Chcę, abyśmy stanowili jedną istotę, jedną duszę....

Henryk

Tak, jak Amelia i ja!.... Każde drgnienie jest u nas wspólne....

Filip

Otóż to właśnie, to czego żądałem od Klary!

Henryk (*poważnie*)

Ale bo też moja żona i ja, stanowimy małżeństwo wyjątkowe!

Filip (*drwiąc*)

Zatem macie przywilej....

Henryk

Trzeba być sprawiedliwym: nie możesz wymagać od Klary, prawie dziecka jeszcze, tych przymiotów, jakie posiada kobieta w pełni intelektualnego rozwoju! Twój wybór poezji do czytania nie był szczęśliwym (*poruszenie Filipa*), jakkolwiek rzecz jest piękną. Dlaczego nie było wybrać jakiegoś czysto uczuciowego utworu, zamiast *Pieśni wschodnich*, cudnych, nie przeczę, ale natchnionych przez wypadki, których znaczenia Klara za-

pewne nie zgłębiała? Czy ty sobie wyobrażasz, że twoją żonę bardzo obchodzi Botzaris, Kanaris i inni bohaterowie greckiej niepodległości?

Filip

Właśnie to było powodem naszej drugiej sprzeczki; nie wiedziała naprzykład, że Byron porzucił żonę, by walczyć pod Missolungi! Powiedziałem jej też:—Czegóż więc uczą was po pensjach!

Henryk

To ją rozgniewało.

Filip

Niezmiernie. I była tak niemądra, że mi odpowiedziała:—Miałam pierwszą nagrodę z historii.

Henryk

He! he! ładna rzecz — pierwsza nagroda!

Filip

Tak, zapewne.... lecz dużo wie z tej historii.

Henryk (zdzumiony)

Więc ją egzaminowałeś....

Filip

Tak.... ty wiesz co to jest, gdy cię wyprowadzą z cierpliwości....

Henryk

Jakbym patrzył na tę scenę! I długo trwała?

Filip

Do pierwszej po północy, a byłaby dłużej trwała, tylko rozumnie wstałem i poszedłem do siebie.

Henryk

Do siebie.... Do swego pokoju?

Filip

Tak jest! (zrozumiałwszy myśl Henryka) Ah! tak, lecz, gdy się sprzeczało o fakta historyczne przez dwie godziny....

Henryk

Rozumiem!.... rozumiem....

Filip (opowiadając dalej)

Nazajutrz, wchodzę do pokoju Klary, chcę jej powiedzieć dzień dobry i przeprosić ją za porywczosć, bo przyznaję, że byłem trochę za porywczy....

Henryk

Porywczy i nudny.

Filip

Wchodzę więc do pokoju Klary.... łóżko nie było wcale rozebrane! Całą noc przeplakała!

Henryk

Biedactwo!

Filip

Naturalnie, że to doprowadziło mnie do wściekłości.

Henryk

Oh! oh!.... naturalnie!

Filip (żywo)

Czy mogłem być zadowolonym, widząc, że się nie kładła wcale, kiedy zdrowie jej jest tak wątłe, iż zabroniono jej wszelkiego znużenia, kiedy najmniejsze wstrząśnienie moralne lub fizyczne może ją przyprawić o ciężką niemoc?

Henryk

Tylko to szkoda....

Filip

Żem ją naraził na to.... Było to źle z mojej strony.

Henryk

Wistocie!

Filip

Mówię ci też: zawiniłem, wielce zawiniłem, zawiniłem tysiąc razy. I dlatego właśnie Klara powinna była być dosyć szlachetną, aby mi nie przyczyniać wyrzutów sumienia za scenę, której już i tak gorąco żałowałem.

Henryk

Więc coś uczyniłeś?

Filip

Wyszedłem.

Henryk

Dobry sobie!

Filip

Pojmujesz, że potrzebowałem świeżego powietrza? Tylko świeże powietrze mogło mnie uspokoić.

Henryk

Więc powróciłeś spokojny.

Filip

Nadzwyczajnie spokojny.... mając zamiar zasiąść przy stole nakrytym do śniadania.... A tu, mówią mi, pani poszła — na mszę.

Henryk

Aż na mszę?

Filip

Znasz moje pojęcia: wiesz, że nie będąc zbyt gorliwym, nie uchodziłem jednak nigdy za bezbożnika, i nawet byłbym wielce zmartwionym, gdyby żona moja nie zachowywała przepisów religijnych; gdyby naprzykład nie bywała w kościele, ja pierwszy wyprawiłbym ją....

Henryk

Siłą?....

Filip

Nie! ale.... (wybuchając) ale nie idzie się na mszę, wtenczas gdy się ma jeść śniadanie!

Henryk

Głodny byłeś?

Filip

Wściekle. Zwykle jadamy śniadanie o jedenastej; kwadrans po dwunastej Klary jeszcze nie było. Nareszcie wraca; czynię jej uwagę — bardzo delikatnie — że się spóźniła.... Odpowiada mi, że śniadania jeść nie będzie.

Henryk

Naturalnie, to cię znów rozgniewało....

Filip

Jakże miało nie rozgniewać? Czekam na nią pięć kwadransy — nawet godzinę i minut dwudziestą pięć — zegar się spóźniał, jak zawsze — i dlatego, że jej czynię uwagę z uśmiechem....

Henryk

Czy tylko z uśmiechem?

Filip

Przysięgam ci, że się śmiałem! Nakoniec, coś ci powiem? I ja nie jadłem śniadania!

Henryk

To niemądra rzecz, szczególnie kiedy się jest potężnie głodnym.

Filip

Nie, nie mogłem! Ta scena odebrała mi apetyt. Zbyt byłem zmartwiony, najpierw zachowaniem się Klary, a następnie jej uporem, ażeby nie jeść, a pewny jestem, że uczyniła to tylko przez złość.

Henryk

Cóż znówu: przez złość!

Filip

Ależ tak! To był dalszy ciąg ułożonego planu. Pozbawiłem ją snu, pozbawiłem ją posiłku. Jakie wyrzuty sumienia dla mnie! Jaka zemsta dla niej! A jaka radość dla służby!

Henryk

Tak.... tak.... pojmuję: Kleft dał początek szeregowi małych Kleftków.

Filip

Ciągle tak jest! Klara obraża mnie niemal na każdym kroku; nie zgadzamy się w niczem, ani w literaturze, ani w poglądach na sztukę, ani w pojęciach o moralności, ani w polityce.

Henryk

Rozmawiacie o polityce?

Filip

A jakżeż....

Henryk

A.... i wówczas!

Filip

Gdyby to tylko! Ale, powtarzam ci, wszystko dla nas staje się kością niezgody. Naprzykład herbata.

Henryk

Herbata?

Filip

Tak, po obiedzie podają jej zawsze ogromną filiżankę; uważam to nawyknięcie za nader szkodliwe i chciałem ją od niego odzwyczaić; herbata, — to napój podniecający, osłabia i mdli.

Henryk

Jednem słowem: nie lubisz herbaty.

Filip

Pomimo to jednakże ona ją pije. Aż mi włosy na głowie powstają. Nie dodam nic więcej, ale za każdym razem, gdy wnoszą tacę z tą jej filiżanką, imbryczkiem i rondelkiem gorącej wody, i gdy Klara zacznie kucharować — (wstrząsa się) ah! nie lubię myśleć o tem.

Henryk (głosem uroczystym)

Wistocie, okoliczność ważna.

Filip

Prawda?

Henryk

Bardzo ważna! (z rozpromienieniem) I niema na to lekarstwa....

Filip

Ah!

Henryk

Rzecz jasna, że go niema na tym punkcie, na którym stanęliście oboje; tu niema co myśleć o pogodzeniu się. Te różnice gustów, usposobień, poglądów utworzyły pomiędzy twoją żoną i tobą przepaść, która coraz zwiększać się będzie.

Filip (po chwili)

Czy wiesz, że wcale nie wesołą rzecz mi mówisz.

Henryk (naïwie)

Mówię szczerze! Może lepiej-bym uczynił, powtarzając ci pospolite pocieszające frazesy. Przyznaję jednak, że nie mam na to odwagi.

Filip

Wdzięczny ci za to jestem.

Henryk

Tylko znów bezwarunkowo trzymać się słów moich nie potrzebujesz. Bądźcobądź, mogę się mylić, brak mi doświadczenia, ponieważ moje życie z żoną było zawsze tak doskonale zgodne.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WYPRAWA DO TONKINU

przez

Dubarda

przekład z francuzkiego.

(Dalszy ciąg)

Gmachów godnych obejrzenia dla rzadkiego podróżnika, któryby się zapędził do tego kraju, niema żadnych, warto tylko zwiedzić dwie pagody: w mieście pagodę *mąk piekielnych*, a w obrębie cytadeli pagodę *świętego drzewa*. Ta ostatnia jest to kapliczka buddyjska, zbudowana w środku zbitej gęstwiny gałęzi olbrzymiej figi indyjskiej, od niezliczonej liczby lat powierzona pieczy starej, stuletniej chyba, kapłanki-bonza. Ta miniaturowa świątynia dlatego jest godną widzenia, iż znajduje się w środku prawdziwego lasu utworzonego przez jedno drzewo.

W pierwszych chwilach opanowania cytadeli kapłanka tej świątyni była jedyną ludzką istotą, której istnienie stwierdzić można było. Myśliwcy, zajęci piśm polowaniem, w swym wojowniczym zapale, zapędziwszy się za nieszczęsnymi stworzeniami, znaleźli się nagle w obec biednej starowiny, bijącej czołem przed swymi bogami i wzywającej wielkim głosem ich pomocy.

Pagoda *mąk piekielnych* zasługuje na opis bardziej szczegółowy. Jest to budynek mający od dziesięciu do dwunastu metrów długości, a pięć do sześciu szerokości, złożony z dwóch przyległych sobie izb. W pierwszej znajduje się raj, przedstawiony przez figurki świętych rozmaitej wielkości i koloru, mających pozy szlachetne i wyraz błogości; w środku zaś drugiej izby, około chaty piramidalnej, ustawiono grupy z niezliczonej ilości małych figurek, wyobrażających potępionych przez Buddę. Trzeba przyznać, że wyobrażenia artysty nie próżnowała i w dziwny sposób spotykała się z wyobraźnią europejską, działającą w tym kierunku. Jest to najdoskonalsza reprodukcja naszych średniowiecznych obrazów piekła.

W kilka dni, dzięki pełnej poświęcenia pomocy ze strony misjonarzy, osiedliny nasze w cytadeli

były już faktem zupełnie dokonany, milicya z krajowców sformowana. Dowódca też wyprawy uznał chwilę za odpowiednią do podjęcia w dalszym ciągu kroków wojennych, — i uzupełnienia rozpoczętego podboju.

Odtąd, przez ciąg kilkunastu tygodni, najświeższe czyny wojenne następują po sobie niemal bez przerwy; kilku ludzi zdobywało cytadelle bronię przez załogi liczące tysiące! Jeden ochotnik na czele siedmiu majtków bez wystrzału wszedł do twierdzy *Nim-bink*, zagwoździł armaty, zabrał do niewoli komendanta; a gdy wreszcie część załogi, oprzytomniawszy, chciała stawić opór, już było zapóźno: nieprzyjaciół, rozgospodarowanych na dobre, dyktował warunki i prawa.

Cud Jerycha odnowił się dla francuzkiego oręza: miasta poddawały się, już nie na głos cudownych trąb, lecz na dźwięk zwyczajnej trąbki wojskowej. Tak więc po Hanoi dostały się do rąk naszych twierdze: *Fu-li*, *Hai-dzeung*, *Fu-tuong*, *Nimbrych* i *Nam-diuk*. Człowiek rozumny i dzielny, z garstką stu dziesięciu majtków i żołnierzy, potrafił opanować główne szanse olbrzymiej prowincji, zająć kraj wielkiej rozległości, zawładnąć armią całą, wprowadzić złe uorganizowaną, bezkarną, bez żadnej spójni, lecz liczebnie potężną, bo przenoszącą sto tysięcy żołnierzy.

Był to tryumf zdolności, zręczności, wiedzy i ufności w siebie, nad liczbą i siłą brutalną. Lecz prawdą jest, że na tym świecie tylko zdobycze dokonane przez czas są istotnie silne i trwałe; prawdą jest, że kto buduje na piasku, ten powinien się spodziewać, iż dzieło jego zabierze pierwszalepsza burza i fala. Nie było danem temu, który zasługiwał na nazwę bohatera Tonkinu, zbierać owoce swych zwycięstw. W miesiąc niespełna zdobyliśmy połowę państwa, a straciliśmy je w jeden dzień; nie bacząc na fundamenta, wzniesiliśmy naprędce gmach pyszny, nagle wiatr przeciwności zawiął i zmiotł go doszczętnie.

VIII. Wydarzenie nieprzewidziane. — Straszny dzień. — Ci awanturnicy Francuzi. — Sześć fortec za kawałek papieru. — Koniec epopei.

Od kilku dni wojska nieprzyjacielskie, zajęte przy początku naszych strategicznych działalności poskramianiem „buntu“ w północnych prowincjach, pod wodzą księcia Hoang, drugiego marszałka Tonkinu, zaczęły się gromadzić w okolicach Hanoi. Armia ta, wzmocniona oddziałem Chińczyków, skupiających się około jakiegoś czarnego łachmana, zastępującego im miejsce sztandaru, lada chwila mogła uczynić położenie nasze nader krytycznym.

Już kilkakrotnie próbowano szturmować, lecz usiłowania te pozostały bezskutecznymi, bo przedsiębrały je oddziały nieliczne, złe sformowane; ale to były dopiero kroki wstępne.

Dowódca wyprawy, zawiadomiony, iż cytadeli zagraża szturm, powrócił do Hanoi, wielce zaniepokojony, i nie ukrywał wcale niezadowolnienia, dowiedziawszy się, iż porucznik okrętu, komendant załogi, w jego nieobecności nie uważał się dość silnym, by uczynić wycieczkę na oblegających i raz jeszcze dać im uczuć wyższość swojego oręza.

— Pokażę ja im — mówił w uniesieniu podrażniony officer, pokażę tej zgrai rabusiów, łotrów, podpalaczy, co to jest żołnierz francuzki! Pokazał wistocie, lecz własnym kosztem i o mało w chwili nieoględnego porywu nie pociągnął w nieochybną zgubę całej załogi Hanoi, składającej się z czterdziestu pięciu ludzi.

Według doniesień szpiegów spodziewaliśmy się napadu w nocy; co wieczór też czyniono przygotowania do walki; ale noce upływały, a nieprzyjaciół nie pokazywał się. Wówczas bowiem nie wiedzieliśmy już, że Chińczycy i Annamici, lękając się zabobonnie ciemności, nie odważyliby się ni-

gdy rozpocząć kroków zaczepnych po zachodzie słońca. Zaczęliśmy się już uspakajać, aż pewnej Niedzieli rano, gdy po wysłuchaniu Mszy Świętej, odprawionej przez prałata Puginier, wikaryusza Stolicy Apostolskiej w Hanoi, zakrapialiśmy skromne śniadanie wybornym winem, pochodzącym z piwnicy prałata, wpadli wylekniieni tłómacze, wołając: „Kapitanie! kapitanie! Chińczycy z czarnym sztandarem przypuścili szturm do cytadeli!“ Garnier drgnął, twarz jego, odbijająca zwykle bladością od czarnej brody, zbladła silniej jeszcze i ściągnęła się nerwowo. Chwila tak oczekiwana przez niego od powrotu nadeszła wreszcie: nakoniec mógł pomścić to, co nazywał, w swem przesadnie patryotycznym uniesieniu, zniwagą naszego sztandaru.

Nie przypasał nawet pałasza; z odkrytą głową, chwycił rewolwer i wybiegł dawać rozkazy do przygotowania wycieczki poza mury cytadeli. Kapitan kanonierki stojącej na kotwicy w przystani udał się po swoją załogę; inny officer został wysłany na szanse północne; podporucznikowi polecono ustawienie armaty przy bramie południowo-wschodniej — dla ostrzeliwania z tej strony całej równiny.

Wszystkie te przygotowania poczyniono z nadzwyczajnym pośpiechem. Nieprzyjaciół, znacznie silniejszy tymrazem, już zaczynał się cofać pod gradem kartaczy, pozostawiając nawet poległych, gdy Garnier, korzystając z tej chwili, na czele garstki ludzi, z małym połowem działem rzucił się w pogoń za uciekającymi. Widać go było biegnącego przez ryżowe pola, ze wzniesionym do góry rewolwerem i zagrzewającego swój oddział do walki; zdawało się, iż go ogarnął szal jakiś. Słyszelśmy trąbkę grającą pobudkę do ataku. Armatkę, grzęznącą w ziemi uprzejmy, pozostawiono, oraz dwóch ludzi i adjutanta na straży i wkrótce kępy bambusowe zasłoniły oddział przed naszymi oczyma. Z drugiej znów strony kapitan kanonierki, uniesiony również nieoględnym zapalem, zapędził się w tensam sposób w miejscowość zarosłą krzakami, które nam nie dozwalały śledzić obrotów jego komendy; przez to właśnie musieliśmy powstrzymać działowy ogień z wałów cytadeli, w obawie strzelania do swoich. Co nastąpiło od owej chwili, tego nikt dokładnie nie wiedział.

Załogę pozostawioną na straży cytadeli ogarniały najsmutniejsze przeczucia; z murów, jak z obserwatorium, mogli widzieć całą okolicę i nieupoleni szaleńcy, spokojnie oceniali położenie; spodziewali się też katastrofy, jako koniecznego następstwa tej donkiszockiej wycieczki, wśród nieprzyjacielskiego kraju, poprzecinanego rowami i kotlinami pełnymi wody, zarosłego kępami drzew i posiadającego tysiące innych przeszkód, z których każda mogła ukrywać zasadzkę. Była to chwila strasznego niepokoju. Widzieć towarzyszy broni pędzących na śmierć pewną, widzieć grożące im niebezpieczeństwo, bez możności ostrzeżenia ich o tem, nie móżdż przyjść z pomocą, pozostawać w bezczynności z bronią w ręku, która się stała bezużyteczną: czy może być coś okrutniejszego?

(Dokończenie nastąpi)

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkuusz 8-my powieści pod tytułem: **Druga do serca.**

TREŚĆ. Uspokojenie (poezya), przez Wł. C. — Pogawędka. — Bezwiedna miłość, Nowella, przez St. Korczak. — Listy z zagranicy, J. I. Kraszewskiego. — Kleft, komedia, (dalszy ciąg), przez Dreyfuss'a. — Wyprawa do Tonkinu, (dalszy ciąg).

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 20 Юля 1882 года.